

ADAM WIARYGA-MINIESKI

# Miłość i wojna

Powieść z dni ostatnich.

3

## ROZDZIAŁ II.

Pan Potyrowski obudził się w doskonałym humorze. Leniwie uniósł głowę z miękkich poduszek, wyciągnął rękę ku oknu i odsunął store, zasłaniając je.

Dzień był pogodny i jasna fala słonecznego światła zalała duży pokój, elegancko umeblowany z tą banalną elegancją, właściwą mieszkaniom hotelowym i „pokojom umeblowanym”.

Niekiedy jednak takie nawet szablonowo urządzone mieszkania uzyskują pewną charakterystykę, jeżeli ktoś, zamieszkując je dłużej, wyciska na nich indywidualne swe piętno przez wprowadzenie miłych sobie lub potrzebnych drobiazgów.

Martwe przedmioty mają swoją mowę. Świadczą nieraz aż nadto wyraźnie o upodobaniach, myślach, zajęciach właściciela.

Tutaj nie było tego ani śladu. Ktoś, kto chciałby wnioskować o sposobie życia i myślenia pana Potyrowskiego z urządzenia jego pokoju, byłby w wielkim kłopotcie. Do zawieszonych na ścianach banalnych pejzażów i konwencjonalnych, miłośno sielankowych scen nie przybył ani jeden obrazek, ani jedna rycina, któreby mogły powiedzieć coś o upodobaniach czy aspiracjach chwilowego lokatora pokoju.

Na biurku znajdowały się starannie okurzone i porządnie ułożone przyrządy do pisania — zda się nietknięte, jak gdyby nikt tutaj nigdy nie pisał. Nie widać było rozrzuconych żadnych listów, żadnych książek, dzienników. Nie było ani jednej fotografii, szklane flakony i ozdobne wazy stały puste — nie wiodły w nich kwiaty. Wszystko wiało pustką, chłodem, jak gdyby nikt tutaj nie mieszkał, albo też starannie zacierał ślady swego pobytu.

Tylko na szafce nocnej obok łóżka leżała srebrna papierośnica, po którą Potyrowski sięgnął. Wyjął papierosa, zapalił, ułożył się znowu wygodnie i rozkoszując się wonnym dymem, uśmiechał się do swoich myśli.

Był w różowym usposobieniu. Sądził, że nareszcie owo „szczęście”, za którym gonił, prowadząc do tychczas rozmaite ciemne i ryzykowne „interesy”, zabłysło mu na drodze daleko krótszej, łatwiejszej, wygodniejszej.

Groza i konieczność wojny, wyrwijająca ludzi ze stałych siedzib i normalnych warunków, była dla Potyrowskiego okolicznością wielce pomyślną. Ulażliła zawarcie znajomości z osobami, do których dostęp byłby w innych warunkach trudny, lub nawet niemożliwy.

Dzięki temu mógł Potyrowski z łatwością zaznać się z panią Wolską i, jak pochlebiał sobie, nie bez słuszności zresztą, wkraść się w jej łaski.

W myśli widział się już mężem pani Krystyny, panem Zalesinek, człowiekiem bogatym, poważanym, na stanowisku.

— Sposobność jedyna — szepnął sam do siebie — nie powtórzy się prawdopodobnie nigdy. Wypuścić jej z rąk nie mogę i nie wypuszczę!

Potyrowski miał więc nadzieję śmiało i daleko sięgające. Zanimby jednak one urzeczywistnić się mogły, znajomość z panią Krystyną przynosiła mu inne, drobniejsze wprowadzie, lecz również nie do pogardzenia korzyści.

Przyjemnie było siedzieć w teatrze lub na koncercie w łoży, zapłaconej przez panią Wolską, wygodnie zjadać doskonałe obiady i kolacje, na które zapraszano go coraz częściej.

Wczoraj także zaprosiła pani Krystyna jego i Koncewicza na obiad niedzielny.

Potyrowski był smakoszem i aż mlasnął językiem na wspomnienie smacznej, wytwornej kuchni, jaką prowadziła bogata wdowa.

Najważniejsze jednak było to, że pani Krystyna miała dobre serce i tak chętnie składała częste i hojne datki na protegowanych przez Potyrowskiego „biednych”. Niejeden szeleszczący banknot przeszedł już z torebki pani Wolskiej do portfela Potyrowskiego.

Potyrowski uśmiechnął się, przypominając sobie, jak swoją opowieścią wzruszył serce pani Krystyny i pobudził jej szczodrość.

Ta znajomość z panią Krystyną przysłała mu tak bardzo w porę!

Zaczynał bowiem w Pradze tracić grunt pod nogami.

Z początku szło wszystko jak z płatka. Był przecież sprytny, elegancki, wymowny — umiał trafić do ludzi bogatych i hojnych, i pieniądze płynęły obfitym strumieniem do rąk Potyrowskiego, który miał rozdzielać je pomiędzy potrzebujących.

Ale teraz zaczynało się coś psuć. Do Pragi zjechało zbyt wielu ludzi inteligentnych, wybitnych, działaczy społecznych — tworzyły się stowarzyszenia samopomocy, komitety i na „filantropijną” działalność Potyrowskiego zaczynało patrzeć zukosa.

A teraz ta zażyłość z bogatą właścicielką ziemską, z kobietą z najlepszego towarzystwa, podnosiła znowu jego „prestige” towarzyski, odsuwała rozmaite podejrzenia, no i wyrównywała poniekąd niedobory budżetowe.

Nagle Potyrowski zmarszczył brwi. Przed oczyma jego wyobraźni przesunęła się postać Anielki Żurawskiej.

Tak! Stanowczo ta piękna, poważna dziewczyna z mądrymi, głębokimi oczyma, była ciemną plamą na słońcu Potyrowskiego.

Czuł on, że panna go nie lubi, nie ufa mu i instynktownie obawiał się jej. Z jakimś lękiem uprzytomnił sobie dziwne zachowanie się Anielki w kawiarni „Pod Białym Łabędziem”.

— Psiakrew! — zaklął — ta mała, niby na pozór taka skromnuta, cichutka — jest zanedo przebiegła! Co prawda, to szelma diabelnie ładna... Wolalbym ją, niż tę podstarzałą, upudrowaną, wysznurowaną ciocię... Ale to darmo, u tej nic nie wskóram... Z tą dziewczyną trzeba będzie jednak coś zrobić... Albo ją jakoś przejednać, ugłaskać — przecież ona, u diabła! musi mieć także jakąś słabą stronę... Albo ją usunąć i uczynić nieszkodliwą... Hm! możeby namówić ciotkę, żeby ją wydała jak najprędzej za męża... Tylko naturalnie za jakiegoś durnia, któryby się zakochał i nie żądał wielkiego posagu, bo w przeciwnym razie ta głupia baba gotowa oddać siostrzenicy choćby pół swojego majątku! To do niej podobne! No! Ujmę ją to wszystko później silnie w ręce... Tak! tak! Ta Anielka gotowa mi bruzdzić, buutować ciotkę... A ten młokos, Koncewicz, niepotrzebny mi tam zupełnie, ten chłystek poluje także na bogaty ożenek... No, całe szczęście, że taki półgłówek ma mało widoków, aby się podobał tej przemądrej pannicy...

Tok myśli przerwało Potyrowskiemu nieśmiałe pukanie do drzwi.

— Proszę!

Do pokoju weszła mizerna, pożółkła, uboga ubrana kobiecina, z głęboko zapadłymi oczyma, zaczerwienionymi jakby od łez, czy niewyspania.

W ręku niosła starannie oczyszczone ubranie Potyrowskiego i jego lśniące, eleganckie buty...

— A, to wy Antoniowa? — rzekł ostrym głosem Potyrowski — Dlaczego tak późno?! Już po dziesiątej!...

— Myślałam, że jaśnie pan hrabia śpi jeszcze i bałam się zbudzić...

Ułożyła troskliwie ubranie na stołku i postawiła buty koło łóżka. Potyrowski spojrział i zmarszczył groźnie brwi.

— Czy wy się, Antoniowa, nigdy nie nauczycie porządnie czyścić butów?! To rozpacz doprawdy, że człowiek nie może być obsłużony, jak należy!... Woda do mycia jest?!

— Jest, proszę jaśnie pana hrabiego! — szepnęła wylękniona kobieta.

— No! To dobrze, a teraz zabierajcie się stąd i za kwadrans przynieście śniadanie! Tylko kawa żeby była gorąca i śmietanka dosyć gęsta...

Antoniowa z wbitemi w ziemię oczyma miętoszyła palcami róg fartucha i nie odchodziła.

— Czegóż stoicie, jak słup soli?! Nie słyszeliście co powiedziałem?!

— Proszę jaśnie pana hrabiego, jabym chciała... — zaczęła nieśmiałym, cichym głosem kobieta.

— No, o co znowu chodzi, do licha?!

— Jabym chciała powiedzieć, że gospodarz groził, że nas wyrzuci z tej suteryny, którą jaśnie pan hrabia dla nas wynajął, bo... czynsz niezapłacony...

— Jak to? Ten gbur śmiał wam grozić wyrzuceniem, kiedy wie, że ja się wami opiekuję?!

— On ta śmiał, proszę jaśnie pana hrabiego... Co się tam taki Czech na delikatności rozumie... Zresztą po prawdzie, jak czynsz niezapłacony...

— Antoniowa, nie rezonować!

Głos Potyrowskiego brzmiał ostro, grzecznie, rozkazująco.

Sięgnął ręką po portfel, wyjął z niego jakiś banknot, schował go z powrotem, następnie wziął portmonetkę i wyszukawszy w niej kilka srebrnych koron, podał je Antoniowej:

— No, macie! Dajcie to gospodarzowi, resztę

dopłaci się później. Powiedzcie, że ja zapłacę, rozumiecie, ja!

— Niech Bóg zapłaci jaśnie panu hrabiemu — szepnęła kobieta, całując pokornie rękę Potyrowskiego.

Nie odchodziła jednak jeszcze, widocznie leżało jej coś jeszcze na sercu, tylko nie miała odwagi tego wypowiedzieć.

— No, czegóż stoicie jeszcze?

— Proszę jaśnie pana hrabiego, bo to mój Staszek ma taką straszną gorączkę... Cały rozpalony... I mnie kaszel w nocy dusi... Więc jabym się chciała zapytać pana hrabiego, czy ja mogę iść do tych dobrych pań od św. Wincentego?... Te panie podobno przysyłają darmo doktora i płacą za lekarstwa... Możebym ja też dostała trochę ziemniaków i poprosiła o podzielenie butów... Moje biedne dzieciśka prawie że boso już chodzą...

Potyrowski porwał się z poduszek, o które wygodnie opierał głowę i siadł na łóżku. Żył nabrzmiały mu na czole, oczy roziskrzyły się gniewem.

— A to co znowu?! — krzyknął — Co za nowe fanaberye?! To taka wdzięczność za to, że przez tak długi czas opiekuję się wami, staram się o was, płacę mieszkanie! Dawno zginęlibyście bezemnie! A teraz już wam moja opieka nie wystarcza?! Ani mi się wście chodźcie do kogokolwiek! Jeżeli dziecko chore i ma gorączkę, to robić mu okłady i trzymać ciepło!

W oczach Antoniowej pojawiły się łzy i grubemi kroplami poczęły spływać po wynędzniałych policzkach.

— I jakże ja — mówiła drżącym głosem — proszę jaśnie pana hrabiego mogę trzymać go ciepło, kiedy w tej suterynie po ścianach się leje... Wilgoć, zimno, niepalone, bo za co ja kupię węgli?... Przecież ta pensyjka, co ją biorę po mężu, to na wyżywienie ledwie starczy...

Potyrowski namyślał się chwilę.

— No! jakoś to będzie! Już ja o tem pomyślę... To się robi... Tylko zapamiętajcie sobie jedno! Jeżeli nie będziecie mi posłuszni i zrobicie jakiś krok bez mojej woli i wiedzy, to ja przestaję się wami opiekować i pojedziecie do baraków!

Antoniowa spojrzała przerażona.

— Jaśnie panie hrabio! Złocisty panie hrabio, ja będę posłuszna, tylko niech nas pan hrabia nie odsyła do baraków!

— No dobrze, dobrze, przestańcie lamentować, nie odeślę was jeszcze, ale zapamiętajcie sobie to, co wam powiedziałem! A teraz nie zawracajcie mi głowy, a za kwadrans żeby mi było śniadanie na stole!

Kiedy Antoniowa wyszła, Potyrowski odetchnął i mruknął ze złością:

— Doprawdy, życie się może sprzykrzyć! Co dzień nowy kłopot! Pań ze „św. Wincentego” jej się zachciało... Przekłete te stowarzyszenia! Chleb poprostu człowiekowi odbierają!

Wkrótce ubrany już, uczesany, wyświeżony siedział przy stole, a Antoniowa postawiła przed nim jasno brudną kawę z kożuszkami, apetyczne bułeczki z makiem i świeże masło.

— Proszę jaśnie pana hrabiego przysłała jakaś dziewczyna i chce się widzieć z panem hrabią...

— Co to za jedna? — zapytał Potyrowski, ze smakiem zjadając śniadanie.

— Nie wiem, proszę jaśnie pana... Ale ona już tu była kilka razy.

— No to powiedzcie jej, Antoniowa, niech wejdzie.

Za chwilę we drzwiach ukazała się dziewczyna młoda jeszcze, ale o twarzy zwiędłej już i przeżytej. Rysy miała grube i pospolite, cerę piegowatą i nieprzyjemne spojrzenie małych, szarych oczu, ale w ruchach, uczesaniu, ubraniu znać było wyraźną chęć podobania się i pretensję do elegancji.

Głowę miała owiniętą jakimś podartym szalem, ale z pod niego ukazywała się pretensjonalnie ufryzowana grzywka, spódnica była wytarta i poplamiona, krój jednak miała przesadnie modny, wazki — buciki były wykrzywione, lecz na wysokich obcasach.

— Dzień dobry panu!

— Aha! to ty, Wikciu? Czego chcesz?

— Proszę pana, ja przysłałam do pana, żeby mi pan dał coś pieniędzy, bo ja się zupełnie wydarłam — wskazała na swój w kilku miejscach podarty żakiet i poplamioną spódnicę — muszę sobie sprawić ubranie, nie mogę się przecież tak „kompromitować”!

Potyrowski żywo podniósł głowę.

— Moja kochana, cóż ty sobie myślisz, że ja ci pieniądze z rękawa wytrząsnę? Nie mam teraz. Dostać już dostałaś odemnie!